№ 6.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1846. Poznań, dnia 23. Marca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pól roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Cały świat woła, że jest stronnictwo pracujące nawet na polu nauk, które zowie się postępowém, a które chce znieść własność przynajmniéj ziemi. Zniesienie téj własności większa część rozumie w ten sposób, że ma przyjść kiedyś czas, w którym będą chcieli wszystko zabierać bogatym, a nadawać ubogim. Taki akt niebyłby zniesieniem, ale tylko przemienieniem własności — stronnictwo zaś, któreby się niem zajmowało naukowo, niemiałoby co obrabiać na polu umiejętnem, bo brać i dawać nie są działania, nad któremi potrzebaby długo rozmyślać, z historyi i prawa je wywodzić. Wpatrując się w dzisiejsze teoretyczne poswary nietak na naszym wschodzie, jak raczéj na zachodzie Europy, chodzi w nich całkiem o co innego.

W Anglii i Francyi, gdzie są rządy reprezentacyjne, piszą tylko ci prawa, którzy posiadają własność, bo są tylko tacy deputowanymi, tam więc o to powstaje hałas, że mała liczba właścicieli krępuje swemi przepisami wielką liczbę takich, co nieposiadają ziemi ani domu. W tych krajach ludzie żyjący tylko z rąk swoich a w nędzy najokropniejszéj, pracują głównie po fabrykach. Fabrykanci starają się przewyższać jeden drugiego taniością, aby zyskać odbyt; dla téj taniości zniżają bardzo ceny swych wyrobów, a dla zniżenia starają się jak najmniéj płacić wyrobnikom, którzy niemając w swojém mieście wielkiego wyboru między kilku fabrykami, muszą się najmować nawet za takie wynagrodzenie, jakie żadnemu niewystarcza na wyżywienie i ubranie jego samego, a cóż dopiero żony i dzieci. Więc tedy szerzy się okropna nędza, dzieci żyją w głodzie bez wychowania, zatwardzają się w nienawiści przeciw tym wszystkim, którzy się mają dobrze, przeciw społeczeństwu i wychowują się na zbrodniarzy. I po wsiach mało lepiéj dzieje się w tych krajach jak po miastach; tam dzierzawcy płacą ogromne summy dziedzicom, starają się dawać jak najmniejsze wynagrodzenie robotnikom, a jeżeli jaki ubogi człowiek wymyśli sobie zarobek, czy to z brania na ich gruncie kamieni, kości, piasku lub czegokolwiek, co niemiało wartości żadnéj, zaraz na te przedmioty ustanawiają cenę i to wcale znaczną; w niektórych okolicach woda sprzedawaną bywa. Na nic się tam niezda przytaczać, że wodę Bóg stworzył dla ludzi i zwierząt, bo właściciel jéj powiada, że przy kopaniu ziemi równie za nią zapłacił, jak za dom, ogród i pole. Fabrykanci i właściciele lub dzierzawcy dóbr, albo rol włościańskich, umawiają się między sobą, aby robotnikowi płacić jeszcze mniéj jak teraz pobiera, a robotnikom niewolno się umawiać, aby więcéj żądali jak dostają, bo kiedy zgromadzą się do rady, to z téj przyczyny, iż jest ich bardzo wielu, imponują swoją liczbą, obudzają trwogę w mieście a nawet i w kraju, z któréjto znowu przyczyny występuje zaraz przeciw nim siła zbrojna do rozpędzania. To wszystko jeszcze u nas niewygórowało tak wysoce, jak w obcych krajach, bo u nas na nasze szczęście nietyle fabryk, ludzi najwięcéj żyje po wsiach, gdzie snadniejsze wyżywienie, a nadewszystko, że Pan Bóg większość zachował od téj chciwości, którą to niby w bardziéj cywilizowanych, ale mniéj moralnych, postrzegamy krajach. Niejeden bogaty u nas i w mieście i na wsi źle się obchodzi z tymi co na niego pracują, ale to tylko wyjątkowo, ogół zaś uczciwie postępuje ze swymi pomocnikami i wyrobnikami, tak w przemyśle wiejskim

jakoli w przemyśle miejskim. Niemasz u nas nienawiści pomiędzy ludźmi różnych stanów, a obawa która się słyszeć daje, że nowe teorye mogłyby ją obudzić, jest bezzasadna. Odwieczna to prawda, że teorya wyrojona niewpływa na narody i w ogóle ludzkość, ale wpływają na nie tylko stosunki praktyczne, pod któremi żyją ludzie, a ztąd to tylko teorya, która systematyzuje te stosunki, wywiera wpływ ale nie pismem, tylko stosunkami. Obawa więc od ludzi piszących, i obawa od nowych systematów, może tylko straszyć umysły powierzchowne, lecz kto głębiéj myśli, pisma i systematu żadnego bać się niepotrzebuje.

Dwa obrazki z życia tułacza.

(Dokończenie.)

Obcy przez chwilę z dziwném zajęciem w nią się wpatrywał — aż stanął przed nią młody kształtny szatyn, skłonił się, ona zawiesiła rękę na jego ramieniu, i w moment w lekkich składnych kręgach puścili się walca. Kiedy wrócili na miejsce, obcy podsunął się pod toż okno, osłonięty grubym cieniem opodal stojącéj lipy. Młody szatyn prowadził z swą towarzyszką rozmowę o uczuciach, a w jego słowach i głosie widać to miłość — to półgniew — to znów jakąś obojętność. Ale ona nie raczyła nawet tego gniewu, miłości i obojętności dostrzedz, — uśmiechała się do niego jak do wszystkich — jak do podeszłéj pani blisko siedzącéj, do dziecięcia co dopiero koło niéj przebiegło. Młodzieniec rzekł nakoniec pół z niecierpliwością — Panno Heleno, wolałbym skrzywienie ust, wolałbym cierpkość, niż tę uprzejmość, ten słodki uśmiech, który pani rzucasz wszystkim zarówno jak jałmużnę.

— Panie Wacławie! ja doprawdy nie rozumiem, rzekła z lekkością, w któréj każdy obojętny byłby dostrzegł udawanie, lecz Wacław zasępił się jeszcze bardziéj. Przez chwilkę wpatrywał się w nią, a potém mówił głosem, nie kochanka ale brata. „Pani taka czuła, dobra — z sercem usposobiona do kochania, dla czego pani przytłumiasz największy urok swéj duszy — miłość? pani żyje na podobieństwo kwiatu, który cudnie kwitnie, nie wydając jednak żadnéj woni.“

Helena na ten zarzut uśmiechnęła się, — ale tak melancholicznie — tak bolesno, iż znać że w sercu łzy zostały choć uśmiech wybiegł na usta. Wacławowi żal się zrobiło, że ją tak zmartwił, a kiedy jeszcze dostrzegł, iż z pod spuszczonych rzęsów łza się potoczyła, pochylił się ku niéj i mówił łagodnie — z życzliwością: „panno Heleno, ja pani nie rozumiem, pani serce prawdziwą dla mnie zagadką. Pani chcesz, pragniesz miłości, pojmujesz ją w całéj sile, a kto panią ośmieli się kochać, ten ma w zamian jeżeli nienawiść to przynajmniéj obojętność.“

Dziewczyna na te słowa żywo się zarumieniła, znać podkradł tajemnicę jéj serca; a choć w oczach łzy zabłysły i na ustach osiadł tylko przymuszany uśmiech, odparła jednak żartobliwie: „Bo jak ktoś może żądać odemnie miłości innéj niż dla wszystkich — niż dla całego świata, to dziwnie!“ I tą razą udało jéj się jeszcze ukryć prawdę przed młodzieńcem, bo ścisnął brwi i odrzekł żywo: „Jak to! więc kto w miłości dla pani zapomniał przeszłości, szczęścia w przyszłości bez niéj pojąć nie umie, temu nawet nie wolno zapragnąć, żeby pani serce silniéj dla niego uderzyło jak dla innych?“

— Oh! taki nie wart, żeby go kochano, bo to egoista. Pomyśl pan tylko: gdyby się każda w każdym zakochała, co do niéj wzdycha, co czasem kocha nawet wyobraźnią i to chwilowe złudzenie bierze za rzeczywistość — toby kobiece biedne serca — nie mało miały do roboty. —

— Kocha wyobraźnią! złudzenie bierze za rzeczywistość! przynajmniéj bądź pani sprawiedliwą — odparł już z przyciskiem.

— Przepraszam pana za mój sąd fałszywy — i uśmiechnęła się żartobliwie.

Ten uśmiech padł jakby lodem na jego gorące uczucie — cofnął się od niéj i odparł z cierpkością: „pani taka rozumna, rozważna; jakżem mógł przypuścić na chwilę, iż tak drobne uczucie jak miłość indywidualna zbudzi się w jéj duszy.“ —

— I pan mi nawet z téj strony dokucza — odrzekła smutnie.

— Bo dla czegoż pani na przemian to zimna, to czuła, to surowa, to rzewna. — Oh! dla czegoż pani tak pełna powabu — kończył miłośnie.

Helena widocznie uwzięła się zmrozić w sercu młodzieńca każdą iskierkę miłości, jaka się tam ku niéj zatliła, i to sposobem najboleśniejszym ale i najpewniejszym sposobem żartów. Odrzekła więc znów z pustotą, która nie harmonizowała z całym jéj układem ani wyrazem twarzy. „Dla czego taką jestem? Bo mi z tém dobrze. Ale po cóż się o niewdzięczne istoty kłopotać jak naprzykład o mnie — co nawet nie umiem wydać sądu czy mi się który z panów podoba.“

Te żarty przeważyły szalę cierpliwości Wacława, i choć na twarz wybiegł gorzki smutek, zmusił jednak usta do ironicznego uśmiechu. „Bo choć pani tak ślicznie mówisz o miłości, nie kochasz nikogo — są to tylko sztuczne bukiety rzucane na wiatr.“ Ona spojrzała ku niemu boleśnie — potém żywy rumieniec oblał jéj skronie — a nakoniec wyrzekła z dumą: „ja kocham!“

— Pani kochasz — powtórzył zdziwiony — i utkwił w nią oczy, jakby chciał przejrzyć w głąb jéj serca. Chwilkę się wahał, nim zapytał niepewnym głosem: „i kogoż?“

— Człowieka, w którego każdéj myśli jest poświęcenie, w każdém tchnieniu miłość narodu. —

— Więc to ideał? —

— Ideał! którego duch wzniosły oblekł się w formy ciała. — Zatrzymała się — a potém kończyła tak cichym głosem jakby sama do siebie.

— Moja pamięć może zatrze jego rysy, ale jego myśli ujęte w słowa, nigdy w méj duszy nieprzebrzmią.

Młodzieniec czy tych ostatnich słów nie dosłyszał, czy mu głosu w piersiach zabrakło do dalszego badania, dość że nieruchomy stał oparty o framugę okna, z wzrokiem zwróconym na Helenę. Ona zaś z jakiémś szczególném zajęciem spoglądała na uschłą różę, zmięszaną z bukietem świeżych kwiatów, które trzymała w dłoni. Nagle podniosła błękitne oczy ku Wacławowi, wskazując na zbladłą różę, mówiła z melancholijnym uśmiechem: „czy to nie mój obraz wśród grona kwitnących wesołością i świeżością kobiet?“

— Więc dla tego wmięszałaś ją pani w bukiet. Odrzuć ją pani, a nazwiéj lepiéj tę konwalią swoim kwiatem. Ach! odrzuć pani i od swego serca wszystko co zwiędłe — co z przeszłości. — I jego ręka okryta białą rękawiczką zanurzała się w bukiet po uschłą różę. Helena przestraszona spiesznie go odsunęła i odparła żywo: „pan chcesz wyrzucać najpiękniejszy z moich kwiatów — kwiat promienny pamięcią. Wierz mi pan, to nad moje siły“ — ale nagle zmięszała się jak ten co za wiele powie, porwała się z miejsca i pobiegła w przeciwny koniec salonu.

Muzyka właśnie grać przestała. Młode kobiety w jasnych i białych strojach, zmięszane z czarnym ubiorem mężczyzn formują grupy jak różnobarwne motyle. Helena wśród nich stanęła. Choć w jéj sercu wrzało silne uczucie, ale z wierzchu zimna — oh! zimniejsza jak wszyscy. Na jej ustach osiadł zwyczajny uśmiech — w słowach płynęła lekka rozmowa — tylko oczy choć jaśniały powierzchownym pokojem, ale w głębi wisiała chmura trosk i zarzuciła na jéj oblicze niby rąbek smutku.

Wacław stał ciągle w miejscu i czule na Helenę spoglądał. Nie myślał w téj chwili o swojém, tylko o jéj szczęściu — i topił się w domysłach, że zwyczajnie tak szczera i prosta jak dziecko, ma jednak strony, w których dziwna i tajemnicza.

Obcy w czasie rozmowy Wacława z Heleną ciągle stał za oknem. Raz po raz z jego piersi wydobyło się przytłumione westchnienie i czoło obsiadły chmury ściśnionego serca. A kiedy z ust dziewczyny usłyszał wyznanie, że kocha, i ujrzał uschłą różę z taką czcią zachowaną — pobladł, i na twarz boleść wybiegła, jakby z nią miało ulecieć ostatnie tchnienie życia. Zwiesił głowę ku piersiom i chwilę podumał. — Ale z téj myśli musiał zaczerpnąć siłę ducha, bo kiedy podniósł czoło już był spokojniejszy.

Zagrano mazurka. Helena stawając do koła, wzrok pełen przyjaźni posłała ku Wacławowi, niby go pytając, czy do niéj nie ma żalu. On za odpowiedź łagodnie się uśmiechnął, a potém oparł głowę o krzyż okna i machinalnie spoglądał na ten rój salonu. Nagle uczuł z za okna dotknięcie ręki — obrócił się i ujrzał postać mężczyzny. Właśnie księżyc wyjrzał z po za chmurki i oświecił stojącego. Wacław przegiął się za okno, ich twarze prawie się dotknęły i wyrzekli jakby jednym głosem:

— Wacławie! — Karólu! — „czekam cię w szpalerze“ dodał ten ostatni, i znikł wśród ciemności. W kilka minut już byli razem i witali się krótkiém serdeczném ściśnieniem dłoni. Pierwsze słowa ich rozmowy były prędkie, poplątane — gdyż się chcieli dowiedzieć i wypowiedzieć co w ciągu trzech lat każdemu z nich zaszło. Karól jak dawniéj znów je przeżył pod cudzém niebem, a teraz pod swoje przedarł się z myślami wypiastowanemi w stęsknionych piersiach tułaczy — rozjaśnionemi miłością kraju, tém gorętszemi, iż każdy dzień ich życia, jest dniem dłuższego cierpienia; — a gdzież boleść za taką sprawę, nie zdradza tém większéj ku niéj tęsknoty? — Karól z Wacławem zaczęli się przechadzać jak dwa nocne duchy w ciemności gęstego szpaleru, prowadząc żywą półgłośną rozmowę. Drzewa splecione sklepieniem nad ich głowami, przepuszczały ledwie gdzie niegdzie blady promień księżyca, lecz zdawało się, iż oni nie czują ani téj ciemności, ani nocnego chłodu, bo raz po raz w zapale rozmowy postanęli, i zbliżyli rozognione lica ku sobie. Długo trwała ich przechadzka, gdyż już twarz księżyca poczęła blednąć, gwiazdy niknęły z nieba, ptaszki zbudzone wychyliwszy główki z pod wilgotnych rosą listków, odzywały się tu i owdzie.

— Trzeba nam się rozstać — rzekł Karól nakoniec — bo za kilka godzin daleko tu ztąd być muszę; kiedyśmy się żegnali, nie myślałem, że się powitamy znów tajemnie — że po trzech latach zastaniesz wszystko po staremu.

— Miéj wiarę Wacławie, że niedaleka ta chwila, iż myśli które każdy z nas nosi w głębi swego ducha, zleją się w jeden harmonijny głos i staną się ciałem.

— O wierzę i czuję — wszak w téj wierze i czuciu opromienionym gorącością ducha, leży nasza potęga.

— Potrzeba nam tylko jednego rzutu, a wnet się otrząśniemy z pyłu starego świata i ukochamy wzajemnie miłością Boga — człowieka.

— Tak jest, tylko jednego rzutu — powtórzył Wacław i zamyślili się obadwaj i chwilkę pochodzili w milczeniu.

Już też i świtać na dobre zaczęło, przedmioty stawały się coraz wyraźniejszemi, kiedy Karól ujął dłoń młodzieńca i mówił z czułością — Wacławie! jam stał pod oknem, wszystkom wysłyszał, ty kochasz Helenę!... przy tych ostatnich słowach ręka mu zadrzała i mimowolnie wypuścił dłoń Wacława. Lecz ten na to niezważał, bo nagłe przypomnienie Heleny i jéj ostatnich słów, silnie wstrząsnęły jego duszę. Wyrzekł więc z gwałtownością — kocham ją, ale bez wzajemności. Ach! są chwile, że w téj miłości topię wszystkie inne — ona się wzbija nad moje myśli, jak łódź nad fale. Lecz ty Karólu coś tak całą duszą ukochał wszystkich, ty niepojmujesz miłości dla jednéj kobiety. — Ty mnie nazwiesz szaleńcem!

— Kochać szaleństwem — o nigdy! Ale takie uczucie niegodne ciebie, niegodne Heleny. Ona co tak gorąco ukochała świat cały, czyż może zapragnąć kochania, któreby niebyło czystém, ale topiło tę miłość.

Karól się zatrzymał — a Wacław milczał i wpatrywał się w niego jakiś zdziwiony, przelękniony. Bo głos przytłumiony, drzący Karóla, pobladnienie lic, dziwne wrażenie na nim zrobiło i myśl jakby piorunem przeleciała przez jego duszę: to on wybrany Heleny.

— Zaczekaj Karólu, powrócę z Heleną, wyrzekł nagle i pobiegł szpalerem jak strzała.

A na obliczu pozostałego wiele uczuć naraz się skrzyżowało — i radość i smutek i szczęście i boleść — znać ze wszystkie władze duszy, razem się zmięszały. Nic dziwnego! — wszak w drodze niebezpieczeństw, którą tu przebywał, w jego myśli przyświecała gwiazda, którą miał ujrzyć, a choć niebyła jedynym celem, jednak mu wszystkie trudy ozłacała. Tą jego gwiazdką była Helena. Nadaremnie po tyle kroć razy przegadał serce, że nie dla niego miłość dziewczyny, któréj zaślubić niemoże, poślubiwszy się sprawie ogółu — któréj pewnie niezobaczy, albo już żoną innego. Ale lada myśl, lada przypomnienie o niéj, ujęło w jeden obraz chwile z nią spędzone i zabłysło znów całém życiem przed okiem jego duszy.

A naraz to niebo, które się przed nim otwierało, pewność że jest kochany — trzeba odrzucić, odepchnąć!... Oh! czuł jakby kamień wtłoczono na jego piersi i wypychano go za bramę raju. Głowa jego płonęła niby ogniem, niespokojność i boleść miotały jego sercem. Nagle zatrząsł się i zbudził z tych bolesnych marzeń, bo Wacław z Heleną już nadchodzili. Stał w miejscu, dziewczyna się zbliżyła i krzyknęła:

— To on! to Karól! Więc cię znów widzę — więc pan o mnie niezapomniał?

— Ja o pani zapomnieć? pod obcém niebem byłem ciałem, ale duszą wśród was — odrzekł przerażającą spokojnością, na którą widać, że wytężył wszystkie siły, tak jego głos był równy bez zagięcia — lica białe — oczy nieruchome. — Lecz pani między swemi — kochana — poszukiwana — jednak niezatraciła rysów przyjaciela.

— O tak przyjacielu — powtórzyła z czułością i wyciągnęła dłoń ku niemu. Karól zadrzał, uścisnął ją jednak serdecznie. Kiedy Helena usunęła rękę, on skrzyżował swoje na piersiach, a czoło pod brzemieniem trosk czy uczuć opuścił ku ziemi. Po chwili podniósł je ubrane w siłę ducha, jakby je otrząsł z tego ciężaru i choć głos miał prawie podziemny, mówił jednak: — Panno Heleno! Wacław panią kocha; on godzien ręki pani.

Wacław stał oparty plecami o drzewo i teraz został w miejscu nieruchomy — niewyrzekł i słowa, tylko wzrok smutnie utopił w obliczu dziewczyny. A ona na te słowa Karóla podniosła twarz ku niemu, bledszą niż najbielsza lilia w ogrodzie — w jéj błękitnych oczach choć pełno łez, żadna niepociekła po licach, wszystkie tam zamarły — a na usta wybiegł uśmiech — uśmiech jakby konającego. Za całą odpowiedź wyciągnęła uschłą różę z bukietu, oberwała jéj listki i puściła na wiatr. Karól wpatrywał się w nią, jego oko przedarło się przez obsłonę ciała i zajrzało w głąb serca. Zabrakło mu więc sił i zawołał boleśnie: — miéj litość Heleno. Nie ukazuj mi nieba, kiedy je muszę utracić na zawsze. — Heleno ja cię kocham!... i załamał dłonie i konwulsyjnie przycisnął je do skroni, a potém kończył głosem rozpaczy: — o zniosę żałość po tobie, lecz cię nie wyrwę z pośród kraju, nie zatruję twéj spokojności bu-

rzami mego życia — i z gwałtownością rozerwał splecione palce, a dłonie kurczowo ściśnione opadły ku ziemi.

— Karólu! ja czuję siłę — zawołała Helena z jaśniejącém odwagą okiem — nie straszy mnie twoje burzliwe życie, nielękam się podzielić twojéj przyszłości.

— O nigdy! nigdy! mój aniele! — złożył ręcę jakby do modlitwy — Nie wyrwę cię z pośród twoich, którzy cię otaczają miłością. Cóż bym ci dał w zamian? Oto życie wygnańca! troskę i nędzę! a sroższą nad to wszystko, dałbym ci tęsknotę tułacza za ziemią rodzinną. O zostań na téj ziemi którą tak gorąco kochasz i bądź jednym apostołem więcéj w rozszerzaniu słowa braterskiéj miłości. — Wszak kropla przylewana do kropli staje się nakońcu morzem.

Helena stała przez chwilę jakby zmartwiała, znać wszystkie uczucia skupiły się na dnie serca i tam przyciśnięte zastygły, bo żadne na wierzch niewybiło. Nakoniec kilka łez spłynęło po jéj licach i zdobyła się na głos, choć z początku słaby ledwie dosłyszany.

— Jak z miłości ku sprawie ukochałam ciebie — tak z miłości ku tobie kochać będę tylko sprawę ogółu.

— Droga Heleno! życie przed tobą długie; choć twój duch silny, ale giętki jak bluszcz potrzebuje kolumny na któréjby się wsparł i którąby razem oplótł wieńcem swoich uczuć. Heleno! Wacław cię miłuje całą duszą — on cię miłuję tak jak ja. — Heleno!... nie odpychaj go. — Te ostatnie słowa tak cicho i drząco wymówił, jakby każde było sztyletem i raniło go w serce.

— Pamięć twéj miłości Karólu starczy mi do śmierci, nic jéj z méj duszy niewyrwie — niezatrze i popłynie nicią złotą przez całe pasmo mego życia. Panie Wacławie, rzekła wyciągając dłoń ku niemu, o mój najlepszy przyjacielu. Ja już niemam miłości do ofiarowania tylko przyjaźń — o mogłamże ją oddać w zamian za twe gorące uczucie? Wacław w milczeniu ucałował rękę przyjaciółki — a ona poczuła na niéj kilka łez. Karól zbliżył się ku nim.

— Bądź zdrowa Heleno! żegnam cię — pozwól na drogę może już wiecznego rozstania, złożyć pocałunek braterstwa na twoje lica. Ona podała mu skronie on złożył na nim pocałunek czysty jak uczucie jego w téj chwili. I ostatni raz spojrzeli tem spojrzeniem ku sobie, co świadczy bez słowa, że ich dusze zaślubiły się na zawsze. Żegnam cię! — żegnam was! wyrzekł — i zniknął wśród drzew.

B. F.

Stanowisko literatury i uczonych
do
stronnictw w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki.

(Dokończenie.)

Amerykańska literatura w swojéj całości nie tworzy żadnego przeciwieństwa do europejskiéj, ale jest zupełnie do niéj podobną, z tą tylko różnicą, iż jeszcze dobitniéj odbija potrzeby i błędy czasów naszych. Zresztą upowszechnienie jest przeznaczeniem piękna, jako dobrego i pożytecznego. Prawdziwa poezya pozostanie zawsze piękną i pożyteczną, czyli ona została powtórzoną w trzydziestu tysiącach dzienników lub w pięknych wydaniach na welinowym papierze, czyli ją czytają na wytwornych tapczanach lub na stołku przy pracy. Starożytni odczytywali i śpiewali swoje poezye w obec ludu i wpływali na ukształcenie charakteru ludu. Poezya żyła i tworzyła cuda między ludem. U nas dla upowszechnienia klassyków tanich potrzeba było stereotypów, a przypuściwszy, że wolność dozwolonąby była u nas prassy, sądzę, iż nasi nowsi poeci nie wzgardziliby wylewać swoich uczuć wiary w gazetach dla ludu. Jest to fałszywe zdanie, iż dzieło sztuki przez powszechne uwielbianie traci na swéj wewnętrznéj wartości, iż poezya, obraz, opera tylko nie wielu powinna się podobać. Całe narody, jak Grecy, mogą posiadać uczucia piękna i sztuki, lub się do tego smaku wyzwolić, a prawdziwe piękno podoba się w końcu nawet nieznawcy, acz nie posiada wiedzy swego upodobania.

Amerykanie nie mają właściwie narodowéj literatury, ale wina nie leży w ich konstytucyi, lecz w ukształceniu naśladowaném z angielskiego. Co w amerykańskich poezyach jest narodowego i im właściwego, to zawdzięczają konstytucyi swéj i na niéj ukształconym zwyczajom i obyczajom. Rzut jeden oka na Coopera, najznakomitszego pisarza amerykańskiego, przekona nas o téj prawdzie. Poezya, mimo całych skarbów fantazyi, jest tylko poczuciem lub odgadnieniem prawdy, wyższéj, nie zajmuje się tak zwaną, ukształconą lub wyższą warstwą społeczeństwa, lecz całą ludzkością, a tę odbija daleko lepiéj cała massa mimo błędów i ułomności, które są ludzkie, aniżeli tak zwana elita, która rzadko jest ludzką! To zapewne czuli amerykańscy poeci, gdyż są z małémi tylko wyjątkami prawdziwymi demokratami. Tu znachodzimy przeciwieństwa, literatura jest demokratyczno narodowa, a parkiet wigosko angielski.

Abym nie pozostał przy czczych wyrazach, przytoczę tu tylko kilka imion. Fennimore Cooper, znany pisarz romansów, zawsze był demokratą i pozostanie

nim aż do końca swojego życia. W ostatnich czasach pisał mnóstwo politycznych pism ulotnych, zwanych panfletami, które w części przyczyniły się do zwycięstwa stronnictwa demokratycznego w Stanach Zjednoczonych. Cullen Bryant, bezwątpienia pierwszy liryk amerykański, którego dzieła upowszechniły się w Anglii i o którym nieprzyjaciel Amerykanów Foreign Quartele z uwielbieniem wspomina, jest redaktorem i wydawcą „New York Evening Post, najradykalniejszego pisma Unii. James Paulding, wyśmienity poeta nowelli, był ministrem marynarki pod van Burenem i pracował bardzo pilnie do pism demokratycznych w Nowym Jorku i Wasingtonie. George Bancroft, który ukończył nauki w Goetindze i w Ameryce napisał historyą Stanów Zjednoczonych, jest demokratycznym mówcą ludu; Józef C. Neal najlepszy pisarz humorystyczny w Stanach Zjednoczonych, jest redaktorem w Filadelfii wychodzącego: „Pennsylvanian,“ naczelnego pisma demokratycznego w państwie tegoż nazwiska. Nath. P. Willis wydaje, jakeśmy wyżéj wspomnieli demokratycznego Evening Miror, a nawet Washington Irving, który w swych szkicach obrazkowych tak był przesiąkły angielszczyzną, stał się w ostatnich latach tak nadzwyczajnie ludowym, iż swemu patryotyzmowi demokratycznemu zawdzięcza posadę posła w Madrycie. Fałszem przeto jest widocznym, co powiadają wigoscy pisarze w Stanach Zjednoczonych, a ich przyjaciele w angielskieh pismach, iż wojna stronnictwa demokratycznego przeciw wigom, jest wojną biedy i niewiadomości przeciw bogactwu i ukształceniu mniejszości. Najwyższe talenta w Stanach Zjednoczonych są demokratyczne, chociaż stronnictwo wigoskie posiada w wyższym stopniu to, co Anglicy nazywają „respectability,“ a na co nie mamy wyrazu.

Demokratyczne pisma w Stanach Zjednoczonych, tak mało znane w Europie, bo nie mają przyczepionych w końcu spisów cen cukru, kawy, tabaki, bawełny, daleko z większym są talentem redagowane, aniżeli dzienniki oppozycyi. W ostatnich zawsze znachodzimy tylko odwoływania się do interessów materialnych, pierwsze przeciwnie działają na uczucie i przedstawiają głównie zasady naszego państwa i ludzkości. Polityka wigów jest szczegółowa, demokratów zaś ogólna. Najlepszém pismem w całéj Unii jest „Richmond Enquirer“ wydawany i redagowany przez Ritchie w Wirginii. Pismo to nigdy nie zniża się do obelg i jest stylem redagowane, któryby miesięcznikom i kwartalnikom zaszczyt przyniósł.

Dwa razy ofiarowano mu naczelne miejsce w rządzie Wirginii, dwa razy za nie podziękował, bo nie chciał sprzeniewierzyć się wyższemu powołaniu swemu, rządzenia krajem duchowo. Nie jest to typ dziennikarza, jakim był Thiers lub Guizot, lubo wielkorządzca Wirginii tylko ma dochodu 1200 dolarów. Najlepszém pismem czasowém w Stanach Zjednoczonych było „Southern Review,“ także demokratyczne, wychodzące w Charleston, dziś na nowo się ukazało. Syn nawet byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych jest poetą, i gdyby był sobie prostym Robertem Tyler, a nie synem prezydenta, uwielbiałoby stronnictwo wigów jego „żyda tułacza,“ który rokiem wprzód przed Juif errant, Eugeniego Sue się ukazał. Jest w nim głębokie uczucie religijno poetyczne.

Wspomnieć téż muszę o panu Longfellows, który chociaż długo bawił w Europie, wśród wigów i pojął bogatą żonę z tego stronnictwa, jednak potrafił zachować swe zasady demokratyczne w całej czystości, nie poświęcił poetycznego uczucia politycznéj modzie. Mnóstwo przytoczyłbym tu podobnych przykładów, lecz nie po temu czas i miejsce w tym urywku. Jednego wypadku przecie nie pominę milczeniem. Niclas Biddle, prezydent Banku Pensylvanii pochwycił w ostatnich chwilach swojego życia za pióro, którém tak dzielnie umiał władać w swéj młódości i przeszedł zupełnie do stronnictwa demokratycznego, będąc dawniéj wigiem. Jego ostatnie artykuły, które zawsze odznaczają się genialnością i klassycznym smakiem, zamieszczone są w gazecie „Public Ledger“ wychodzącéj w Filadelfii.

Szkic ten w zarysie głównych części życia duchowego północnych Amerykanów, spodziewam się, że wystarczy do objaśnienia stanowiska stronnictw w Unii. Geniusz i pracowita klassa jest demokratyczna, duchowa mierność i majątki należą do opozycyi. Dwanaście lat rządów demokratycznych w Stanach Zjednoczonych wytępią zupełnie opozycyą wigów i najznakomitsze talenta narodu staną w szeregach stronnictwa demokratycznego. Im więcéj ziemi, im więcéj potęgi nabierają Stany Zjednoczone, tém silniéj rozszerza się to stronnictwo. Zresztą w każdém mieście trzech do czterech adwokatów posiada miejsca przynoszące największe dochody, reszta rzucić się musi do polityki, do praktyki w sądach kryminalnych, do drobnych processów, a że majętni nie są w stanie utworzyć narodowéj literatury, przeto w massach spoczywa przyszłość Unii, do których wszystkie najznakomitsze geniusze w literaturze na-

leżą. To tylko chciałem powiedzieć w celu sprostowania uwag St. Simonistycznych pana Michała Chevalier, o przyszłości i teraźniejszéj zdatności demokratów i wigów w Stanach Zjednoczonych północnéj Ameryki.

P.

Krewni królewscy.

Przed trzema tygodniami, kiedy ostatni raz w Paryżu śnieg pruszył i zaraz topniał na bruku, ujrzano przed drzwiami ubogiego domu mary oparte na dwóch krzesłach. Trumny nie pokrywał żaden całun, była po prostu zbita ze starych desek, a między szczelinami wystawało siano, na którém zmarły spoczywał. Kilku drążników z twarzami nakształt rubinów zaczerwienionemi, wyniosło nakoniec czarne poplamione przykrycie, którém trumnę osłonili i wsunęli ją na wóz umarłych. Wóz ruszył na miejsce wiecznego spoczynku, przed nim szli rubinowi drążnicy, za nim zaś smutna kobieta, która dawniéj bardzo piękną była. Rzewnie płakała i raz po raz ocierała załzawione oczy końcem starego kraciastego szalu.

W tak biednym stanie przewieziono młodego człowieka na cmentarz, którego przodkowie spoczywają w grobach królewskich w Saint Denis. Jest to najrzetelniejszą prawdą, jak wszystko, co tu powiemy. Jeżeli biedny ten człowiek za życia opowiadał o Henryku II. Franciszku I. i o Ludwiku Świętym, mógł powiedzieć: to moi przodkowie, miał prawo według dworskiéj etykiety, aby go król swoim kuzynem nazywał. Burbonowie hiszpańscy i książęta domu austryackiego, powinni go byli kuzynem swoim nazywać.

Karól Valois de St. Remy był przecież biednym tylko czeladnikiem u introligatora. Nic go nie rozróżniało od biednych rzemieślników, których przybrał obyczaje i zwyczaje. Ciotka jego, z dumnem nazwiskiem Małgorzata Valois, ta sama co z płaczem szła za jego trumną, pielęgnowała go aż do śmierci znosząc cierpliwie brzemię nieszczęśliwego życia i ostatnie od niego przyjęła tchnienie.

Równie jak większa część ludzi, którzy swego stanu z pochodzeniem swém pogodzić nieumieją, czuł Karól Valois, że w nim płynie krew książęca, a kiedy patrzał na królów, książąt i wielkich urzędników, jako na swą przedmowę do biednego rzemieślnika z nabrzmiałemi rękoma, z nieukształconym duchem i zwyczajami prostego ludu, natenczas wrzało w nim wszystko i zaledwie mógł wstrzymać swą rospacz. Jeden mu tylko pozostał środek, do wyniesienia siebie, niechby tylko pochwycił za broń i patrontasz i stanął naprzeciw nieprzyjaciołom ojczyzny, a przy komyśniaku wszystkoby zyskał, co przodkowie jego utracili, ale do tego potrzeba było serca żołnierskiego, a tego nie miał Karól Valois.

Henryk II. przodek naszego biednego czeladnika, miał z Nicole de Savigny syna, któremu dał swe imie i dobra, z których najznaczniejsze były St. Remy. Syn ten, którego szczęście osypało wszystkiemi dobrami, był przodkiem nowego rodu, lecz jego potomkowie stracili wkrótce wiele z potęgi swéj i wielkości. Gdy Valois d'Angouléme, dzieci Karóla IX, — Vendomy dzieci Henryka IV, — gdy książę Maine i inne dzieci nieprawego łoża Ludwika XIV. ogromne majątki posiadały, najwyższe urzędy piastowały i łączyły się z książętami i obcymi monarchami pokrewieństwem, Valois de St. Remy tak zubożeli tymczasem, iż nikt na nich niezważał.

Jednego dnia spostrzegła pod panowaniem Ludwika XIV. markiza Boullainvilliers na drodze z Reims do Fontenelle w Champagnii maleńkie i bose dziewcze, które w ręku trzymało zieloną gałąź i popędzało krowę, która na miedzach się pasła. Dama ta przypatrzyła się dziewczęciu, które nadzwyczaj piękne było i zawołała do siebie, chcąc jéj coś podarować. Mała Joasia Valois wyprostowała się z taką dumą jak hiszpański Hidalgo i opowiedziała téj damie swe pochodzenie, jedyne, co obok ojczenasz wiedziała.... Dama ta obszerniéj rozpytywała się o wszystko i wszystko się potwierdziło, co dziewczę to powiedziało. Pani Baulainvilliers tyle sama ceny przywięzywała do pochodzenia z rodu, bo sama pokrewnioną była z Samuelem Bernardem, Rotschildem owych czasów, iż zabrała maleńką dziewczynkę do powozu i wprost z nią do Paryża pojechała.

Mała pastereczka otrzymała tu jak najwyśmienitsze wychowanie i wprowadzono ją w pierwsze towarzystwa szlachty, a nawet przedstawiono ją na dworze, gdzie ją za osobliwość uważano. Król wyznaczył jéj pensyą roczną, a skoro doszła do lat dojrzalszych, poszła za hrabiego de Lamotte. Wiadomą jest rzeczą, że nieszczęśliwa hrabina de Lamotte nadużyła imienia królowéj, w zamiarze ukradzenia owego naszyjnika, za który tyle osób znakomitych osadzonych zostało w bastylii i tyle upowszechniono oszczerstw haniebnych na nieszczęśliwą Marią Antoinettę.

(Dokończenie nastąpi)

ROZMAITOŚCI.

W Paryżu, a mianowicie w świecie uczonym, w akademii, wielkie czyni wrażenie młode jedno dziewczę. Nie jest to mystifikacyą, ani żaden puf amerykański, ale sama prawda gruntująca się na sprawozdaniu pana Arago. Dziewczę to jest elektryczne jak węgórz elektryczny, co porusza, obala krzesła i stoły i przyciąga inne lekkie rzeczy do siebie. Nazywa się Angelique Collin, ma lat czternaście, na wsi urodzona i zupełnie zaniedbana w ukształceniu. Osobliwsza ta elektryczność pokazała się u niéj nagle i przed niedawnym czasem (25. Stycznia). W tym dniu była zatrudnioną z innemi dziewczętami w fabryce jedwabnych rękawiczek, gdy nagle szpulka na którą jedwab nawijała, z siłą nadzwyczajną wypadła z jéj ręku. I stołek na którym siedziała z niespokojnością, daleko od niéj odleciał i wiele razy usieść chciała, stołki się od niéj odsuwały. Lekarz w téj wsi nieumiał sobie wytłumaczyć téj siły w dziewczynie ukrytéj, równie jak duchowny tameczny, przeto ją wysłano do Paryża. Tam Arago z innymi uczonymi czynił z nią doświadczenia. Przytém okazało się, że elektryczność jéj wzmaga się od 7. do 9. godziny wieczorem. Wtenczas stać musi i trwoga ją wielka przejmuje. Nie może dotknąć żadnego przedmiotu, bez przełamania go. Wszystkie meble dotknięte jéj suknią chwieją się lub się obalają. Uderzenie i strumienie elektryczne z niéj tak są silne, iż Arago i jego przyjaciele napróżno silili się utrzymać krzesło, do którego dziewcze się zbliżało. Akademia wyznaczyła komisyą do obserwacyi elektrycznego dziewczęcia.

MODY.

Paryż, dnia 12. Marca 1846.

Moda, jest to dziwny Proteusz, który rządzi samolubnie każdym krajem, charakteryzuje każdy czas i urządza każdą uroczystość. Moda wpływa na obyczaje i zdania narodu, budzi namiętności lub je miarkuje według okoliczności. W średnich wiekach były zwyczaje saraceńskie, a ubiory miały coś z chełmu Rolanda i turbanu Saladyna. Dwór każdego króla ulegając naturalnemu wpływowi kobiet, odbijał świetnością mód, które królowa każda ze sobą wprowadzała do kraju. Tak dwór francuzki pod Marią de Medicis z włoska się nosił, pod Anną z Austryi po hiszpańsku, a nawet wypadki pod owemi rządami nosiły piętno zagraniczne. Od Ludwika XV. stał się dwór francuzki i dwory europejskie francuzkiemi przepojone własnościami i od tego czasu poczęły się francuzkie mody na wszystkie strony rozszerzać. Jednakowoż zaprzeczyć niemożna, iż się cokolwiek zaczęły cofać i łączyć z ubiegłemi wiekami, bo acz zatrzymują smak i elegancyą 19. wieku, jednak dołączają coś takiego, co przypomina uroczystości za czasów Ludwika XIV. i Karóla VI.

Przedewszystkiem lubiły kobiety w każdym czasie bieliznę i piękna Anna Austryacka spała tylko na najpiękniejszym batyście, ale nieznała tysiącznych osobliwości, które odtąd wynalezione zostały w zakresie bielizny. Najnowszem odkryciem tego rodzaju są koszule z hollenderskiego płótna, wysoko zachodzące w kształcie szlafroczka, aż do przepaski otwarte a odtąd do dołu z udanym brzegiem, nakształt przecięcia, jak u otwartych szlafroczków. Koszule te mają kołnierzyk mały amazoński, wyłożony po purytańsku i długie rękawy z wiązadłami. Inne koszule podobnego kroju robią z batystu walensiańskiego. Koszule te są bardzo obszerne i noszą je wygodnie pod szlafroczkami lub ubiorami domowemi.

Chociaż już niejest o téj porze tak zimno, jednakowoż widzimy tu i owdzie lekkie futra a mianowicie chusteczki naramienne z kun. Nazywają je bojarami. Tworzą z przodu dwa końce, które upinają się w przepaski. Noszą je do wszystkich rodzai szlafroczków. Na aksamicie noszą je z gronostajów.

Na balach i wieczorach ostatnich, widzieliśmy, iż kolory biały i czerwony przeważał i niemożna zaprzeczyć, iż obadwa kolory przy jasnem świetle wieczornem bardzo dobrze odbijają. Niebieski i różowy kolor mniéj się teraz podoba, z wyjątkiem u sukien z ciężkich tkanin. Długie loki zaniedbane podczas zimy, zaczynają znowu nosić.

W téj chwili są najmodniejsze bóciki z liliowego kaszemiru, z małemi obcasami i lakierowanemi końcami.

Objaśnienie ryciny.

1. Czepeczek z koronek i wstążki. Suknia z mory, otwarta na spódnicy atłasowéj, orzuconéj koronkami. Na staniku garnitur z aksamitu nakształt wizytki.
2. Suknia z białego atłasu, ozdobiona złotemi koronkami. Stanik podobnie suto orzucony. Girlanda ze złocistego liścia.
3. Frak z sukna niebieskiego, z guzikami złotemi. Biały krawat, kamizelka kaszemirowa.

Redaktor *N. Kamieński*. Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki*.